

JANINA ABRAMOWSKA

Szyborska czytana od końca

Ten ostatni tomik Wisławy Szyborskiej był chyba od razu przez autorkę pomyślany jako ostatni. Świadczy o tym żartobliwie gorzki tytuł. Więc jakkolwiek jego niepełność i obecność z pietyzmem zgromadzonych przez wydawcę wierszy niedokończonych, notatek i projektów boleśnie przypomina, że wcale nie wystarczy, wolno i trzeba traktować go jako zamknięcie, a może nawet podsumowanie.

Poprzedni zbiór, *Tutaj*, spotkał się z różnym, także niedobrym, przyjęciem. Pisali młodzi krytycy, że to już nie ta sama Szyborska, że banały i powtórzenia. To samo pewnie mieliby ochotę napisać teraz, choć może powstrzyma ich reszka ludzkiej przyzwoitości. Ale nie o przyzwoitość tu idzie, lecz o sposób czytania poetki, po której niektórzy spodziewali się ciągle nowych zaskoczeń: świeżych ujęć tematycznych, zaskakujących skojarzeń i puent. Tych oczekiwań tom – podobnie zresztą jak poprzedni – bynajmniej nie zawodzi. Ciekawsze jednak są właśnie powroty. „Muszę wracać” napisała poetka, rozpoczynając jeden z wierszy, które pozostały we fragmentach. Podjęła w nim wymuszoną właśnie próbę wytłumaczenia ideologicznych wyborów z przeszłości, ale bardziej interesująca niż życiowe zakręty jest zamknięta w tej formule ogólniejsza zasada pisarstwa.

„Chciałabym, żeby każdy mój wiersz był inny” – powiedziała kiedyś. Ale przy całym bogactwie migotliwej inwencji, przy całej rozpiętości świata poetyckiego postrzeganego w mikro- i makrowymiarze, od listka do wszechświata, i w równie rozległej rzece czasu, kosmicznego, historycznego, biograficznego, od chwili jedynej i ulotnej do niezmiennego trwania natury i zła, Szyborska się oczywiście powtarza. Zupełnie inaczej niż Różewicz, ale też świadomie i z premedytacją, czasem nawet za pomocą autocy-tatu.

Łatwiej ująć jej twórczość w zbiór ciągów tematycznych, co już niejednokrotnie zresztą czyniono, niż w porządek rozwojowy. Poczynając od trzeciego tomu, poetka jest już właściwie gotowa, ukształtowana w swoim widzeniu świata i w języku poetyckim, zarazem wyrafinowanym i prostym. W kolejnych tomach dodaje świetne wiersze, przesuwając akcenty, z rzadka reaguje na jakieś aktualne wydarzenie, jej myśl biegnie kilkoma ważnymi torami.

Wisława Szymborska swoje wiersze wymyśla, może przed snem, niektórym tylko udzielając łaski zapisu. I chyba tu trzeba szukać nie tylko częściowo ujawnianej, na przykład w *Do własnego wiersza*, tajemnicy jej procesu twórczego, szczupłości nie-miłosiernie wyselekcjonowanych zbiorów, ale ich zawartości. Wymyślanej, a może raczej nieustannie domyśliwanej. Ten ostatni, niedokończony tom, ciekawy sam w sobie, zawiera dopowiedzenia, korekty, kropki nad i. Poszukajmy w nim niektórych przynajmniej dróg wstecz.

„Wolę piekło chaosu od piekła porządku” – pisała Szymborska w wierszu *Możliwości*. Niechęć do nieludzkiego, wykoncypowanego ładu zawiera także *Utopia*. *Wymyślam świat* to wizja osobista, ale przecież też zaprzeczona. Tu mamy wiersz *Mapa*, zawierający wyznanie „lubie”, ale to znów przewrotne zanegowanie obrazu nieprawdziwego, ulepszanego.

Lubie mapy, bo kłamią.
Bo nie dają dostępu napastliwej prawdzie,
Bo wielkodusznie, z pocziwym humorem
rozpościerają mi na stole świat
nie z tego świata.

Prawdziwa wizja rzeczywistości Szymborskiej to nie mapa, lecz rozsypane puzzle, których nie da się złożyć, bo brakuje kawałków. Pamiętamy te cudowne enumeracje, żartobliwie mieszające przedmioty i słowa. I znane jej zamięłowanie do gromadzenia „rupieci”. Nawiązuje do nich kolejny wiersz oniryczny *W uśpieniu*:

Przyśniło mi się, że czegoś szukałam
gdzieś chyba schowanego albo zgubionego
pod łóżkiem, pod schodami,
pod starym adresem.

Grzebałam w szafach, pudłach i szufladach
pełnych na próżno rzeczy nie do rzeczy.

Wyciągałam z walizek
poodbywane lata i podróże.

Wytrząsałam z kieszeni
uschnięte listy i nie do mnie liście

Przebiegałam zdyszana
przez swoje, nieswoje
niepokoje, pokoje.

Grzęzłam w tunelach śniegu
i niepamiętania.

Wikłałam się w kolczastych krzakach
i domysłach.

Rozgarniałam powietrze
i dziecinną trawę.

Puenta wiersza dotyczy paradoksalnej natury czasu przeżywanego, tu snionego, ale to nie ona jest ważna. Chodzi o pamięć, o wiedzę, która gubi fragmenty i nie da się w uporządkowaną całość poskładać.

Centralnym tematem Szyborskiej, rozgałęziającym się w paru kierunkach, jest refleksja antropologiczna nad istotą człowieczeństwa, gatunkowej powszechności i osobowej poszczególności.

Pytania sięgają daleko w czas: ku odległej przeszłości, kiedy sąsiedowaliśmy na ziemi z innymi istotami rozumnymi (nieskończony *Ostatni Neandertalczyk*), i w przyszłość, kiedy wymrzymy i zastąpi nas sztuczna inteligencja (*Wyznania maszyny czytającej*). Ile człowieczeństwa w Ostatnim Neandertalczyku, który podobny był z czoła i twarzy, krzeszał ogień, okrywał się skórą zwierząt, krzyczał i może trochę mówił, zapładniał kobiety, także te obce, przybywające z południa. Co wiedział o sobie samym? Bo może umierał bez bólu i wiedzy, że właśnie umiera, a może w chwili śmierci wierzył w zaświaty? Ile człowieczeństwa w postludzkiej maszynie czytającej, rozumnej, umiejącej rozszyfrować pozostałe po nas teksty i zrekonstruować leksykon. Niezrozumiałe są jednak dla niej nie tylko słowa „dusza” i „uczucia”, ale i słowo „jestem”, niedostępne pojęcie istnienia, a więc samoświadomość, ciągle jeszcze wyróżniająca cecha człowieczeństwa.

W wielu utworach wcześniejszych człowieczeństwo było definiowane w zestawieniu ze zwierzętami, w dialektyce pokrewieństwa i obcości. Teraz temat powraca, a nawet się wyostrza. Wiersz

Łańcuchy pozornie podkreśla podobieństwo: spragnionego psa więzi żelazny łańcuch, który uniemożliwia mu dostęp do miski z wodą, nasze łańcuchy tymczasem są „o wiele dłuższe i mniej widzialne”. Właśnie, krzywda wobec zwierząt jest dosłowna, wobec ludzi – metaforyczna.

Powraca też temat niemożliwej komunikacji. Nie jesteśmy w stanie przełamać upartej niedostępności kamyka ani milczenia roślin. Ze zwierzętami też nie lepiej, choć próbujemy domyślić się, co o nas wiedzą, jak nas widzą. Tu już nie chodzi o małpę, „daleką krewną, chociaż się sobie nie kłaniamy”, ale o stworzenia z przeciwnego bieguna, obce zupełnie owady. Czym jesteśmy dla nich? Przedmiotem o powierzchni zbyt dużej do pokonania, ale pachnącej krwią i mięsem. Można się nami pożywić.

Człowiek różni się od zwierząt tym, że musi czuć się odpowiedzialny za świat, pisała poetka w *Pochwale złego o sobie mniemania*. Potem się to nieco zmieniło: w pięknym wierszu *Zdarzenie* z tomu *Dwukropek* lwica dogania antylopę, po tym jak ofiara potyka się o wystający korzeń drzewa. Więc raz jeszcze przypadek, a tak naprawdę okrutne prawo natury. I niewinna jest nie tylko ofiara, ale i drapieżnik, który musi przecież coś jeść, a także nakarmić potomstwo. Co ciekawsze, w ten szereg wpisany jest również człowiek, tu – obserwator, określony jako reprezentant gatunku: *homo sapiens innocens*. Teraz problem winy i niewinności powraca w wierszu *Przymus*. Człowiekowi nie jest dana niewinność – choćby tylko obserwował świat, choćby brzydził się zabijaniem – bo sam stanowi część łańcucha pokarmowego. O winie stanowi przymus jedzenia. I nie pomogą wybiegi wegetarian, oni także muszą zjadać coś, co przedtem żyło i rośło. Podejrzanie, że i rośliny zasługują na naszą solidarność, a chociaż nieme – może swoje wiedzą i czują, pojawiało się już wcześniej, w wierszu *Milczenie roślin*, jeszcze wyraźniej zaś w przemówieniu noblowskim. Teraz wszystko co żywe dostępuje równości, człowiek jest częścią natury – zarazem pożerany i pożerający, winny i niewinny. Okrucieństwo, na które skazuje nas natura, autonomiczna albo urządzona przez bogów pozbawionych dobroci, dotyczy każdego.

Jest w tym ostatnim tomie taki łatwy do przeoczenia, banalny z pozoru wiersz *Na lotnisku*. Dwoje kochających się ludzi wita się zapewne po długiej rozłące, padając sobie w objęcia. Ich radosną czułość ukrywa tyleż typowość powitalnych zachowań w tym miejscu, co warstwy grubych zimowych ubrań. A jednak scena jest erotyczna, dla nich znaczy więcej niż dla nieuważnego obserwatora. Poetka jest obserwatorem czujnym i domyślnym, może uruchamia też własne stare doświadczenia.

I chyba stary wiersz. Bo jest taki w tomie *Sto pociech*, zatytułowany podobnie: *Dworzec*. To zapis spotkania niespełnionego, odkrywczy poetycko w użyciu form zaprzeczonych. Dokładny i szczegółowy niczym sprawozdanie z czegoś, co się nie zdarzyło, a przecież miało się zdarzyć, dlatego zostało zapamiętane jako gorzkie niedokonanie. Wiersz jest pisany w pierwszej osobie, jacyś „my” się nie spotkali, zamiast nich spotkali się jacyś „oni”, wymieniając „nie nasz” pocałunek. W *Na lotnisku* poetka wraca do tej sceny, dodając jakby poprawkę, a może, jeśli zostaniemy przy sugestii autobiograficznej, wariant doznania w innym miejscu życia, już bez zazdrości i bez żalu. „Oni” i tu są zamiast „nas”, uczestniczą w czymś, co patrzącej nie jest i nie może być dane. Jednak zamiast goryczy pojawia się wzruszenie. Bo to miłość, chociaż cudza.

A jak miłość – to i śmierć. I znów bez przesady. Znikamy i co potem? Pozostaje puste miejsce, martwe przedmioty, lustro, które wcześniej odbijało jakieś twarze, jakiś ruch, i z pewnością jakiś dramat w domu, z którego ocalała jedna obnażona ściana. „Każdemu kiedyś ktoś bliski umiera” – ten kolejny wiersz (*Każdemu kiedyś*) pisany po żałobnych osobistych tekstach z *Końca i początku*, po przywołującym perspektywę śmierci własnej *Wywiadzie z Atropos*, powraca do myśli tam zawartych, ale wnosi coś nowego. Banalna formuła o nieuchronnej śmiertelności powszechnej pozostaje w tle, jest po stoicku akceptowaną oczywistością. Tu uwagę przyciąga powszechność bólu utraty. Myśl o innych, o tych, co pozostaną. „Ludzkie przygody ludzkie noś” – pisał Kochanowski. Jest tu podobny element konsolacji czy – lepiej – trudnej zgody.

W scenie z *Na lotnisku* jest jeszcze coś, co ważne dla Szyborskiej. Kłębi się tłum, ale para ludzi jest od niego oddzielona, osobna, podwójnie pojedyncza. Z Ostatnim Neandertalczykiem wymiera cały gatunek, on nie wie, że jest ostatni, ale jego śmierć jest pojedyncza w sposób szczególnie dojmujący.

W refleksji antropologicznej poetki pojawia się – i stopniowo wyraźniej – jeszcze jedna opozycja: jednostka w swojej pojedynczości pozostaje reprezentantem gatunku i równocześnie jest też częścią nietrwałej, historycznie określonej społeczności. Może się w nią wtapiać, świadomie się z nią utożsamiać, albo przeciwnie: nie akceptować takiej czy innej wspólnoty i pozostawać osobą osobną. Dotyczy to podmiotu, lecz zarazem innych ludzi, takich jak ci z *Na lotnisku*, a wcześniej ci spadający z płonących wież World Trade Center – w tej samej chwili, a przecież osobno.

Szczęście i katastrofę innych poetka odbiera empatycznie, lecz źle czuje się w tłumie. „Wolę siebie lubiącą ludzi niż siebie kocha-

jąca ludzkość” – pisała w wierszu *Możliwości*. Można by przypomniać złe wspomnienia dawnych złudzeń, radosnych pochodów ku świetlanej jakoby przyszłości. W ostatnim tomie pojawiają się jednak i inne, zupełnie świeże doświadczenia agresywnych demonstracji i wrzaskliwych marszów, transparentów, mundurów i atrybutów grup młodzieńców „zamawiających piwo”. Autorka patrzy na nich ze zgrozą i lękiem, solidaryzuje się z cichym człowiekiem, który – jak po każdej wojnie – przychodzi sprzątać, nie chce nikomu niczego narzucać i niewolić nawet ptaków.

Ten wiersz jest bardzo dosłowny i nie przypadkiem został opatrzony tytułem w pierwszej osobie (*Ktoś, kogo obserwuję od pewnego czasu*). Nie przypadkiem towarzyszy mu drugi (*Są tacy, którzy*), gdzie autorka składa raz jeszcze światopoglądową deklarację. Bo to, czego nie lubi, objawia się nie tylko w zachowaniach tłumu, ale także w dyktujących te zachowania uniesieniach, w zamięłowaniu do porządku i podbudowującej go pewności.

Są tacy, którzy sprawniej wykonują życie.
Mają w sobie i wokół siebie porządek.
Na wszystko sposób i słuszną odpowiedź.
[...]
Przybijają pieczętiki do jedynych prawd.
Wrzucają do niszczarek fakty niepotrzebne [...].

Tu już nie chodzi ani o socjalizm, ani o ONR, ani o bezmyślną biurokrację. Nawet nie o Pana Boga, który dawno zmienił się w metaforę. Chodzi o wszelką wiarę w prawdy absolutne przeciwstawianą chwiejnej, sceptycznej, wiernej tylko własnym, wewnętrznie sprawdzonym przekonaniom, niewierze.

JANINA ABRAMOWSKA

Szyborska, Read from the End

The essay is about Wisława Szymborska's late poetry, especially the last volume, *Wystarczy* [Enough]. The poet's frequent returns, repetitions, and various references to her earlier work are of particular importance. The author argues that, contrary to the general opinion, these references do not reflect a creative crisis or exhaustion of Szymborska's poetics, but develop and deepen her anthropological reflection on the essence of humanity.

Keywords: late poetry, repetition, return, end, death.

Janina Abramowska – profesor senior w Instytucie Filologii Polskiej UAM, wcześniej wieloletni nauczyciel akademicki na poznańskiej polonistyce. Jest autorką ponad stu publikacji naukowych, w tym siedmiu książek autorskich (m.in. *Polska bajka ezopowa*, *Jan Kochanowski*, *Powtórzenia i wybory*, *Pisarze w zwierzyńcu*) oraz kilkunastu tomów przez nią zredagowanych (m.in. *Z perspektywy końca wieku*, *Wariacje na temat*). W badaniach historycznoliterackich jej uwagę przyciągali najpierw twórcy staropolscy, na czele z Janem Kochanowskim, potem także wybrani pisarze epok późniejszych i wieku XX. Jako teoretyk literatury zajmowała się przede wszystkim genologią i tematologią.